

Pierre Alexis  
de Ponson  
du Terrail

# Rocamboles

**WYCZYNY  
ROCAMBOLE'ŃA**  
część czwarta



**Tom  
10**



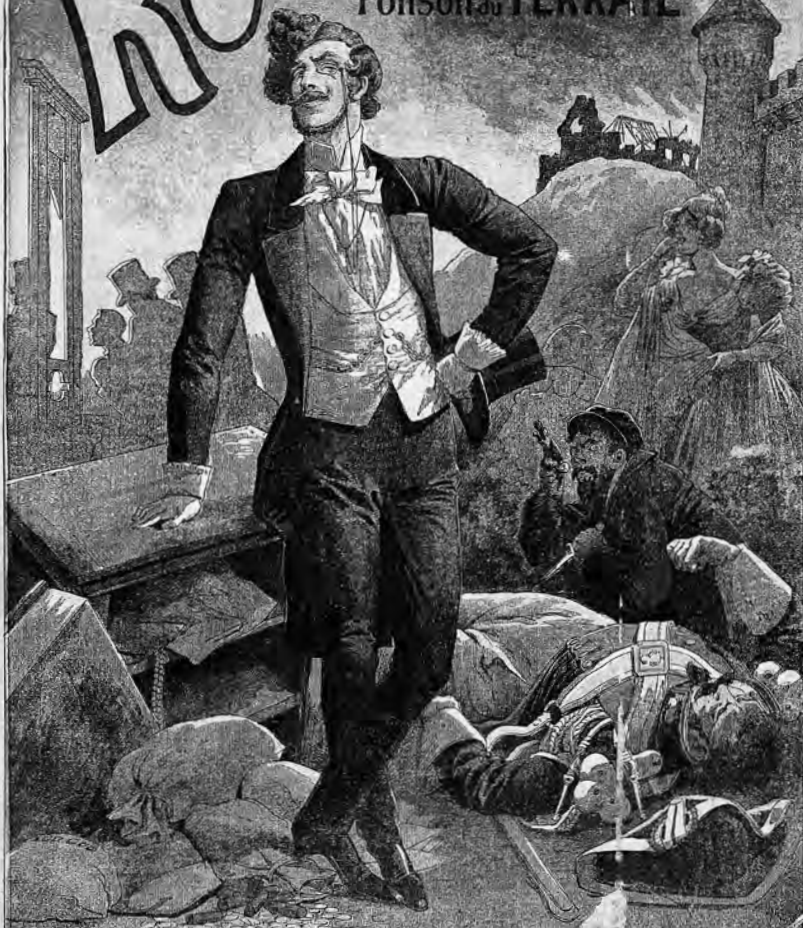
Ruda Śląska 2021  
ISBN 978-83-66268-19-7 (kolekcja)  
ISBN 978-83-66268-94-4 (tom 10)



LES DRAMES DE  
PARIS

# ROCAMBOLE

PAR  
Ponson du TERRAIL



**GRATUITEMENT**

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1<sup>re</sup>)

N° 1



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

# **Rocambole**



*Wyczyny Rocambole'a*  
*część czwarta*



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis  
de Ponson  
du Terrail

# Rocambole

## Wyczyny Rocambole'a

*część czwarta*



Przełożył  
i przypisami opatrzył  
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo  
JAMAKASZ  
Ruda Śląska 2021

*Dziewięćdziesiąta czwarta  
publikacja elektroniczna  
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Dziesiąty tom kolekcji  
„Rocambole”*

**Tytuł oryginału francuskiego:** *Les exploits de Rocambole*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2021

**25 ilustracji, w tym 22 karty tablicowe kolorowe:** Louis-Charles Bombled,  
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

**Redaktor kolekcji:** Andrzej Zydorczak

**Redakcja:** Kinga Ochojska

**Konwersja do formatów cyfrowych:** Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2021

ISBN 978-83-66268-19-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-66268-96-8 (tom 10)



**Wydawnictwo JAMAKASZ**

[www.jamakaszk.pl](http://www.jamakaszk.pl)

e-mail: [jamakaszk2013@gmail.com](mailto:jamakaszk2013@gmail.com)

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2021



*Zemsta Baccarat*





# Rozdział I

*Pod gilotyną*



Okolo dwa miesiące po niedawno opowiedzianych przez nas wydarzeniach powóz pocztowy, który opuścił Orlean dzień wcześniej o dziesiątej wieczorem, jechał okolo piątej rano przez Turenję po głównym gościńcu prowadzącym z Tours do małego miasteczka G... O trzy ligi od owej skromnej podprefektury, położonej z dala od jakichkolwiek dróg żelaznych, znajdowała się magnacka posiadłość Oranżeria, gdzie markiza wdowa de Chamery, matka zmarłego Hectora de Chamery i panny Andrée Brunot, przed osiemnastoma laty wydała ostatnie tchnienie.

W owym szybko jadącym powozie znajdowały się dwie dobrze nam znane osoby: wicehrabia Fabien d'Asmolles i markiz Frédéric-Albert-Honoré de Chamery, czyli nasz bohater Rocambole.

Bez wątpienia ci, którzy widzieli przed kilkoma miesiącami owego eleganckiego awanturnika podpisującego pewną ręką i z uśmiechem na ustach swój kontrakt ślubny z panną Conception de Sallandre-ra, teraz mieliby kłopot z rozpoznaniem go. Z dawnego Rocambo-le'a pozostał jedynie cień. Błady, wychudły, z ponurym wejrzeniem, ze zmarszczonym czołem, fałszywy markiz był widocznie trapiiony jakąś ciężką troską. Pogrążony w rodzaju bolesnego odrętwienia, spoglądał wokół siebie jak człowiek, dla którego wszystko stało się absolutnie obojętne.

Wicehrabia, ujawszy jedną z jego rąk, spoglądał na niego ze szczerym współczuciem.

- Mój biedny Albercie, wiesz, że mnie przestraszasz? - powiedział.
- Ja? - odparł Rocambole, drgnawszy nerwowo po tych słowach, lecz spróbował się uśmiechnąć. - Cóż znowu, ja cię przestraszam?
- Bez wątpienia.
- Dlaczego?
- Twój smutek, trapiący cię od dwóch miesięcy, jest dla mnie niezrozumiały.

- Jednak łatwy do wytłumaczenia – mruknął Rocambole.
  - Ja tak nie uważam.
  - Przecież wiesz, że kocham Conception.
  - I poślubisz ją za sześć tygodni.
- Rocambole przecząco pokiwał głową.
- Mam smutne przecucia – wyszeptał tak cicho, że Fabien zaledwie go dosłyszał.
  - Mój biedny Albercie – odrzekł wicehrabia – jesteś zdenerwowany jak dziecko i straciłeś siły do walki z fatalnością losu.
  - Fatalność! – mruknął z przestachem Rocambole. – Och, nie wymawiaj tego słowa... Ono mnie przeraża!
  - Drogi mój bracie – mówił dalej emocjonalnie Fabien – sądziłem, że jesteś silniejszy, odważniejszy i bardziej nawykły do walki z przeciwnościami życia. Przeciwność losu! Czy można tak nazwać nieoczekiwany, ale niestety zwyczajny wypadek, który nagle opóźnił twoje szczęście i oddalił je o sześć miesięcy? Nie przeczę, że był okrutny, uderzając rano jak gromem apopleksją w ojca Conception w dzień twojego ślubu i zrzędzając, że ta biedna dziewczyna, zaręczona poprzedniego dnia, obudziła się jako sierota i była zmuszona zmienić białe szaty oblubienicy na ciężki ponury ubiór żałobny. Los zaprawdę okazał się surowy i okrutny, okazując naszym oczom dwa trupy, księcia de Sallandrera i twego biednego majtka, ofiarę burzy i jego ślepoty, tu, pod tym dachem, gdzie wieczorem miały rozbrzmiewać dźwięki weselnej orkiestry! Mimo wszystko, mój drogi, nie jest to przyczyna, byś tracił odwagę.
- Rocambole westchnął głęboko i milczał.
- Conception nie mogła cię poślubić nazajutrz po pogrzebie swojego nieszczęsnego ojca – mówił dalej Fabien – i wasze małżeństwo musiało zostać odłożone, stosownie do przyjętych w Hiszpanii zwyczajów. Ona jednak ciągle cię kocha, bardziej teraz niż kiedykolwiek. Od czasu, kiedy przebywa z matką w zamku de Sallandrera, gdzie pojechały odprowadzić zwłoki zmarłego księcia, czy był jeden dzień, byś nie otrzymał od niej długiego serdecznego listu?
  - Nie – rzekł fałszywy markiz, ciągle smutny i zadumany.
  - Mimo to ciągle jesteś ponury, zamyślony, drżysz na najmniejszy szelest, miewasz niespokojne sny, dziwne słowa wybiegają podczas



snu z twoich ust i bywają chwile, kiedy Blanche i ja zaczynamy się niepokoić o stan twojego umysłu.

– Cierpię... – wyszeptał Rocambole.

– Jesteś szalony! Chwila twojego szczęścia jest teraz bliska i pewna.

– Kto wie? – odparł Rocambole i w tych dwóch słowach mieściła cała potęgą bólu i trwogi.

Nagle markiz Frédéric-Albert-Honoré de Chamery podniósł głowę.

– Powiedz mi, czy jesteś zabobonny? – usiłując się uśmiechnąć, zapytał Fabiena.

– Ja? Nie – odrzekł d’Asmolles.

– To jesteś prawdziwie szczęśliwy!

– Co chcesz przez to powiedzieć, mój bracie?

– Posłuchaj – rzekł Rocambole, usiłując zapanować nad sobą i znów stać się człowiekiem jak niegdyś, zuchwałym bandytą, sceptykiem, zawsze pewnym siebie, zawsze ufającym w swą przyszłość, gotowym do walki z przeciwnościami losu. – Słuchaj, nie na darmo spędziłem mą młodość pod tropikalnym niebem, wśród zabobonnych narodów. Wierzę ślepo w złą i dobrą fortunę!

– Szaleńcze! – uśmiechając się, odparł Fabien.

– Podczas owej fatalnej nocy, poprzedzającej śmierć pana de Sallandrera – mówił dalej Rocambole – tej nocy, kiedy mój nieszczęsny majątek Walter Bright spadł, niewątpliwie idąc po omacku, w przepaść z tarasu Haut-Pas, miałem dziwny sen...

– Jaki to sen...?

– Zaczynałem zasypiać. Nagle zbudził mnie jakiś dziwny hałas. Zobaczyłem mężczyznę w bieli, okrytego całunem, siedzącego w nogach mojego łóżka. Poznałem w nim Waltera Brighta. Nie tego, którego znałeś, tego nieszczęśliwego ślepcę, ofiarę zaciekłości dzikich, ale dawniejszego Waltera Brighta z jego piękną i szczerą twarzą, błękitnym okiem i lojalnym uśmiechem na ustach. Widmo, siedząc w pobliżu mnie, wyszeptało cicho: „Teraz, gdy jestem martwy, przychodzę oznajmić ci twoją przyszłość”. Wtedy przez otwarte okno ręką wskazał mi niebo, a na nim, między chmurami, gwiazdę. Ta gwiazda przez chwilę błyszczała, po czym oderwawszy się ze sklepienia niebios, pomknęła w przestrzeń i zgasła.



– No i czego dowodzi ów sen? – nie mogąc pohamować uśmiechu, zapytał Fabien.

– Ta gwiazda, którą mi pokazał, była moją gwiazdą.

– Co za szaleństwo...!

– Przeczuję, że nigdy nie poślubię Conception.

– Mój biedny Albercie – powiedział Fabien – gdybyś nie był zakochany, na pewno uważałbym, że jesteś wariatem. Pozwól, że policzę te twoje brednie na rachunek zmartwienia, jakiego doświadczasz z przyczyny opóźnienia małżeństwa przez nagłą śmierć księcia. Pozwól sobie powiedzieć, że mam pewność, iż poślubisz Conception i przed upływem dwóch miesięcy panna de Sallandrera zostanie markizą de Chamery.

W tych słowach Fabiena było tyle przekonania, że przywróciły one nadzieję w sercu Rocambole'a.

– Oby Bóg cię usłyszał...! – odrzekł i zaraz, śmiejąc się, dodał: – W rzeczy samej muszę mieć ziarenko obłędu, trapiąc się tak bez powodu.

– Na szczęście uzdrowienie jest bliskie, a oczekując go, w miarę zbliżania się do celu staraj się okazywać spokojnym, odważnym.

– Przyrzekam ci to, mój drogi. Jak długo pozostaniemy w Oranżerii?

– Do licha...! Przyznam, że nie będziemy mieli tam wiele do roboty – odrzekł Fabien. – Zbyt dobrze się dogadujemy, by mieć jakiegokolwiek trudności z tą ziemią, która nie jest jeszcze między nami podzielona. Nie byłeś tam jeszcze od swego powrotu z Indii, a ja wykorzystałem nasze interesy jako pretekst, by cię tam zabrać.

– Tak...? – rzekł Rocambole.

– Posłuchałem rady twego lekarza, doktora Samuela Albota.

Rocambole drgnął, usłyszawszy to nazwisko.

– Ów doktor, który cię kilkakrotnie odwiedzał – mówił Fabien – radził mi, abym wywiózł cię gdzieś na jakiś czas. Mówił, że zmiana powietrza dobrze wpłynie na twoje zdrowie, skutkiem tego więc ułożyłem podróż do Oranżerii jako niby potrzebną dla naszych wspólnych interesów.

– Kochany Fabienie! – powiedział Rocambole, ściskając dłoń wieczerabiego.

Falszywy markiz wyraźnie wydawał się powracać do swej dawnej beztroskiej natury, gdyż powiedział lekkim tonem:





*Był to skazaniec, wstępujący powoli na stopnie rusztowania,  
podtrzymywany przez kata i więziennego spowiednika.*





– Mimo wszystko doktor w tym przypadku być może ma rację. To niecierpliwość czyni mnie chorym i pcha do mej duszy czarne myśli, ale chcę być silniejszy i z uśmiechem będę czekać na godzinę mojego szczęścia.

– Przyrzekasz mi to?

– Przyrzekam.

– Gdzie więc jesteście? – zapytał wicehrabia, za wszelką cenę chcąc rozerwać tego, o którym sądził, że jest bratem żony, więc czule go kochał.

Wychylił głowę przez drzwiczki, a Rocambole zrobił to samo.

Działo się to w połowie kwietnia, około wpół do szóstej rano. Rozbłysnął już dzień, niebo było pogodne, bez chmur. Powóz pocztowy mknął pośród zielonej równiny, poza którą pierwsze blaski dzienne oświetlały czerwone dachy miasteczka G... Była to sobota, a co więcej dzień targowy. Droga zapełniona była gromadami wieśniaków. Jedni szli pieszo, inni jechali na wózkach, jeszcze inni na koniach, mułach i osłach. W miarę jak podróżna berlinka zbliżała się do miasteczka, tłum stawał się coraz bardziej ściśnięty, bardziej zwarty i zdawał się niewiarygodnie przyspieszać swoje powolne tempo.

Do miasta wjeżdżało się piękną aleją wysadzoną lipami. Wiodła ona na rynek. Kilkaset metrów od tego miejsca pocztylion zmuszony był powstrzymać konie i jechać stępa, noga za nogą, by nie pogruchotać coraz bardziej zwartego tłumu. Nagle powóz się zatrzymał, lokaj wicehrabiego zeskoczył z siedzenia i podszedł do drzwiczek.

– Panie, nie można dalej jechać – powiedział.

– Dlaczego? – zapytał zaskoczony Rocambole.

– Ponieważ za kilka minut ma być wykonana egzekucja na jakimś przestępcy i wszystkie ulice są zapchane ludźmi.

Na słowo „egzekucja” markiz zadrżał od stóp do głów.

– Ach, rozumiem teraz, skąd i dlaczego te tłumy! – rzekł Fabien. – Jarmark nigdy nie ściąga tylu ciekawskich.

Markiz i wicehrabia, którzy patrzyli przez okienka w drzwiczkach, teraz spojrzeli przed siebie i przez przednie szyby berlinki dostrzegli w odległości około stu metrów dwa czerwone ramiona gilotyny, wokół której, poza okręgiem wyznaczonym przez kordon konnych żandarmów, cisnął się drgający, pijany emocjami, wypełniony dziwnymi i głuchymi szmerami tłum, przybyły ze wszystkich stron, by zobaczyć spadającą ludzką głowę.



Fabien wydał stangretowi rozkaz cofnięcia się.

– Za późno, panie, bo poza nami jest jeszcze więcej ludzi, niż widzimy ich przed sobą. Musimy poczekać.

– Ach, jakież wstrętne widoki będziemy mieć przed oczyma! – zawołał wicehrabia.

Rocambole, blady jak widmo, wychylił się przez drzwiczki powozu i spuścił głowę, by nie widzieć tego strasznego narzędzia tortury. On, który niegdyś, gdy był przybrany synem mamy Fipart, okazywał się tak łakomy na tego rodzaju krwawy spektakl. Jeśli jednak nie widział, to słyszał, gdyż jedna z kobiet, wspiąwszy się na stopnie powozu, mówiła do drugiej kobiety wspinającej się obok niej na palce:

– Za chwilę nastąpi egzekucja. Wyznaczona jest na szóstą.

– Co on zrobił? Za co go karzą? – zapytał siedzący na osle wieśniak.

– Zabił kobietę, swą przybraną matkę!

– Zbrodniarz! – odezwał się jakiś głos w tłumie.

Pierwsza kobieta mówiła dalej:

– Uduślił ją...! Biedna staruszka, której i tak już pozostawało niewiele dni życia.

Falszywemu markizowi zjeżyły się włosy na głowie, a serce gwałtownie mu biło na ów tak dziwny zbieg okoliczności.

– Ileż ten rozbójnik ma lat? – pytał dalej wieśniak.

– Mówią, że ma dwadzieścia osiem.

Rocambole zaczęła cały drzeć.

– Oto i on...! – zawołano ze wszystkich stron.

Jednocześnie ten olbrzymi tłum, tupiący z niecierpliwości, którego zmieszany szmer był podobny do głuchego odgłosu wzburzonego morza, ten tłum nagle zamilkł i ten ocean głów jakby skamieniał.

Także w tym samym czasie, gdy wicehrabia Fabien d'Asmolles, zamknąwszy oczy, modlił się w myślach za nieszczęśnika, który miał umrzeć, Rocambole, na próżno usiłujący go naśladować, poczuł się zdominowany przez jakąś nieodpartą siłę, przez dziwny magnetyzm, który przyciągał jego wzrok ku rusztowaniu i zatrzymał je tam, podczas gdy jego serce przestało bić, pot wystąpił na czoło, a całym ciałem zawładnęło nerwowe drżenie.

Na szczęście dla niego wicehrabia miał zamknięte oczy.





*Nagle skazaniec został popchnięty naprzód, położony szybko na desce, która zakotyła się i uniosła jego głowę pod nóż...*



Rocambole zobaczył wówczas na opróżnionej wcześniej platformie rusztowania stojących dwóch mężczyzn, w jakich łatwo można było rozpoznać pomocników kata.

Wkrótce ukazała się trzecia głowa – jasnowłosa głowa z pobladłym obliczem, mimo przerażenia opróżnionym blaskiem młodości – głowa z krótko obciętymi włosami, osadzona na białej obnażonej szyi.

Był to skazaniec, wstępujący powoli na stopnie rusztowania, podtrzymywany przez kata i więziennego spowiednika.

Przez kilka sekund błędny wzrok fałszywego markiza widział tego młodzieńca będącego bliżej wieczności niż wiekowy starzec. Widział go stojącego pomiędzy księdzem, który przykładał mu do ust krucyfiks, mówiąc o Bogu, a tym strasznym wykonawcą oczekującym na moment wypełnienia wyroku prawa.

Nagle skazaniec został popchnięty naprzód, położony szybko na desce, która zakołysała się i uniosła jego głowę pod nóż...

Jednocześnie wyteżony wzrok markiza poraziła błyskawica, pochodząca z pierwszego słonecznego promienia padającego na ostrze topora gilotyny, jaka zdawała się spadać na szyję skazańca wraz z nożem. Rozległ się głuchy odgłos, na który tłum odpowiedział donośnym szmerem, i podczas gdy spadała głowa skazanego, Rocambole, jak gdyby sam został uderzony tym ciosem, obsunął się, nieprzytomny i umierający, w głąb podróżnej berlinki.



## Rozdział II

### *Niespodziewana katastrofa*



**P**ozostawmy domniemanego markiza de Chamery w jego podróżnym powozie i powróćmy do Paryża. Cofnijmy się więc o kilka dni. Pewnego wieczora około dziewiątej hrabina Artoff, znajdując się w swym gabinecie przy ulicy de la Pépinière, rozmawiała z doktorem Samuelem Albotem.

Doktor wydawał się bardzo zatroskany, a hrabina, która od kilku chwil milczała, nagle zagadnęła:

– Otóż doktorze, czy wie pan, że dzisiaj mijają dwa miesiące od dnia mego wyjazdu do Franche-Comté z panem Rolandem de Clayet?

– Tak, pani.

– I podczas tego czasu wiernie stosowałeś się do mego polecenia, by mnie o nic nie pytać, nie badać.

– Faktycznie... Woła pani była dla mnie rozkazem – odparł Mulat.

– Ach, mój drogi doktorze, kobieta, która tak jak ja została wplątana w tak wiele dziwnych i strasznych intryg, może działać bezpiecznie tylko wtedy, gdy zamknie się w sobie, będzie samotnie rozmyślać nad swoimi planami postępowania i powierzy je tym osobom, w których pokłada głęboką i absolutną wiarę dopiero wtedy, gdy osiągną dojrzałość.

Doktor się uklonił.

– Dzisiaj – mówiła dalej Baccarat – sądzę, że nadeszła chwila, kiedy mogę panu opowiedzieć, co dotąd zrobiłam i co zamyślam uczynić, by osiągnąć nasz cel.

– Słucham panią – rzekł Samuel Albot.

– Opowiem panu szczegóły mojej podróży do Franche-Comté, gdzie pozostawiłam naszego młodego pomocnika Rolanda, trzymając go tam, że tak powiem, jak gdyby skrupowanego więźniem.

Hrabina, rozparłszy się wygodnie w fotelu, zaczęła opowiadać Mulatowi:

– Jak pan wie, pan de Clayet i ja opuściliśmy Paryż pocztowym po-  
wozem. Jak pan sobie przypomina, zamieniłam damskie szaty na mę-  
ski ubiór. Ów ubiór nadawał mi wygląd osiemnastoletniego młodzieńca  
i przez całą podróż uważano mnie za sekretarza pana Rolanda.

Zamek, w którym umarł kawaler de Clayet, czyniąc swego bratan-  
ka swoim uniwersalnym spadkobiercą, znajdował się o trzy ligi głów-  
nym traktem, a potem półtoorej ligi boczną drogą, która przechodziła  
przez lasy zamku Haut-Pas.

Przybyliśmy do Clayet dwa dni po naszym wyjeździe z Paryża.

Wyjechałam bez ułożonego planu, zaopatrzona w jedyną infor-  
mację, lecz była ona niezmiernie doniosła. Markiz de Chamery udał  
się w tym samym czasie do Haut-Pas, gdzie znajdował się już wi-  
cehrabia d’Asmolles wraz z żoną oraz księżę de Sallandrera z żoną  
i córką. Byłam głęboko przekonana, że markiz de Chamery i Ro-  
cambole są jedną i tą samą osobą, ale nie miałam na to dowodu,  
który należało zdobyć za każdą cenę.

Wieczorem, gdy przybyliśmy, powiedziałam do Rolanda:

„Mój przyjacielu, musisz pojechać do pana d’Asmolles.

– Ależ odkąd wmieszany zostałem w ową haniebną intrygę, na-  
sze stosunki bardzo się oziębily – odpowiedział mi Roland.

– Usprawiedliw te odwiedziny jakimś interesem. Pański wuj i on  
musieli jakieś mieć.

– Rzeczywiście – odrzekł – mój wuj kupił w zeszłym roku od pana  
d’Asmolles młyn i jeszcze wszystkiego mu nie wypłacił.

– Doskonale! Zatem idź się z nim spotkać.

– W jakim celu?

– Przywieziesz go tu z markizem. Muszę zobaczyć tego człowieka.

– A jeśli panią pozna?

– Nie, bo mnie nie zobaczy. Ukryję się i zobaczę go, nie będąc przez  
niego widzianą”.

Odkąd Roland przekonał się, że ciężko przeciwko mnie zawinił,  
był mi ślepo posłuszny i ten młodzieniec, tak wcześniej lekkomyślny,  
wydawał się w ciągu kilku dni postarzeć o dziesięć lat.

„Uczynię, jak pani każe – odrzekł. – Kiedy mam jechać do Haut-Pas?

– Jutro rano”.



Faktycznie, nazajutrz o świcie Roland wyruszył w drogę pieszo, ze strzelbą na ramieniu. Przechodząc przez rozległy las jodłowy, rozciągający się między Clayet a Haut-Pas, spotkał gajowego, z którym niejednokrotnie polował.

„Ach, panie Rolandzie – rzekł tenże – szkoda, że nie było pana na tak wspaniałym polowaniu.

– Kiedy się ono odbyło?

– Przedwczoraj, w sobotę.

– Gdzie? – pytał dalej Roland.

– W Czarnej Dolinie. Pan d’Asmolles i jego szwagier, markiz de Chamery, z jakimś hiszpańskim księciem, na honor, zrobili oblławę na niedźwiedzia.

– Cholera! – rzekł Roland. – I kto zabił to zwierzę?

– Markiz de Chamery. O, to diabelnie odważny człowiek!”

Wtedy gajowy opowiedział homeryczną walkę Rocambole’a z niedźwiedziem, a potem dodał:

„Tym sposobem małżeństwo zostało postanowione!

– Jakie małżeństwo? – zapytał z ukrytą obawą Roland.

– Małżeństwo markiza z córką Hiszpana.

– Och! – odrzekł Roland, u którego gajowy nie dostrzegł żadnych emocji. – I wkrótce ma dojść do tego małżeństwa?

– Już wczoraj ogłoszono zapowiedzi na nabożeństwie o jedenaście i podobno ślub ma być zawarty dziś”.

Roland wyznał mi później, że słysząc te słowa, poczuł tak wielkie emocje, że strzelba prawie wypadła mu z ręki. Kontynuował jednak swoją drogę do Haut-Pas.

Wiadomość, jaką mi przekazano, zmieniła jego plany i sposób postępowania, jaki mu poprzedniego dnia nakreśliłam.

„Taki nędznik jak markiz de Chamery – myślał – nie może posłubić panny de Sallandrera. Nie mam czasu wracać, by zasięgnąć rady hrabiny, będę więc działał na własny rachunek”.

Idąc spieszenie w stronę zamku, nie wiedział, w jaki sposób może przeszkodzić lub przynajmniej opóźnić to ułożone małżeństwo... Liczył jednak na jakieś niespodziewane natchnienie.

Gdy przybył do Haut-Pas, była ósma rano.





Burza, jaka miała miejsce tej nocy, rozmiękczyła drogi i liczne ślady stóp oraz podków końskich okrywały ścieżkę wiodącą z sąsiedniego miasteczka Aulnay do zamku Haut-Pas.

Roland nie mógł nie zauważyć, że mieszkańcy zamku wyszli wcześniej i prawdopodobnie byli w wielkim podnieceniu z powodu ślubu.

Kiedy dotarł do podnóża wzgórza, na którym wznosi się zamek, dostrzegł zbliżającego się jeźdźca. Był to stary doktor z miasteczka, którego Roland, jako dziecko tej okolicy, dobrze znał.

„Jak to? – zapytał, podchodząc ku niemu. – To pan, doktorze?”

– Dzień dobry, panie de Clayet – odparł lekarz mający bardzo poważną minę.

– Skąd pan wraca tak wcześnie rano? – zapytał Roland.

– Z Haut-Pas.

– Czy ktoś tam zachorował?”

Doktor pokiwał głową i rzekł:

„Przybyłem za późno.

– Za późno?

– Tak, księżę nie żyje.

– Nie żyje! – zawołał de Clayet. – Księżę?

– Tak.

– Księżę de Sallandrera?

– Oczywiście.

– Lecz w jaki sposób...? Z czego?

– Zmarł na piorunujący atak apoplektyczny. Gdy przybyłem, dawał jeszcze słabe znaki życia, lecz wkrótce wyzionął ducha”.

Tu doktor opowiedział Rolandowi, co nastąpiło w nocy.

„– Wyobraź sobie – dodał – że księżę de Sallandrera doświadczył silnego wzruszenia wywołanego przez dramatyczne wydarzenia podczas polowania na niedźwiedzia.

– Coś takiego! – przerwał mu Roland. – Spotkałem łowczego, który mi o tym mówił... I to wzruszenie...

– Wywołało napływ krwi do głowy księcia. Była to główna przyczyna udaru, który go dotknął.

– Kiedy to nastąpiło?

– Tej nocy... Prawdopodobnie około jedenastej wieczorem.

– Spostrzeżono to zaraz?



– Niestety nie! Księżę nie zdołał przywołać pomocy. Zauważono to dopiero dzisiaj rano, gdy ktoś wszedł do jego pokoju.

– Zapewne jego służący?

– Nie, markiz.

– Jaki markiz? – zapomniawszy o Rocambole’u, zapytał Roland.

– No, przyszedł zięć księcia, szwagier pana d’Asmolles, markiz de Chamery.

– Ach tak... – mruknął de Clayet.

– Podobno pan de Chamery – mówił dalej doktor, pochyliwszy się na siodle – podobno pan markiz także bardzo źle spał tej nocy...

– Och, a dlaczego...?

– Do licha! – rzekł doktor, mrugając okiem jak podstarzały amant. – Łatwo to pojąć. Markiz miał się ożenić następnego dnia, kochał pannę Conception, która jest bardzo ładną dziewczyną. Pojmuje więc pan... Śpiąc źle, a raczej nie śpiąc wcale, wstał bardzo wcześnie i naturalnie, jako że nie wypadało mu wejść do pokoju narzeczonej, wszedł do swego przyszłego teścia”.

Doktor uznał za stosowne uśmiechnąć się i dodał:

„Nie było to całkiem to samo... ale... w końcu...!

– Cóż dalej? – pytał Roland.

– Wtedy usłyszano krzyk przyzywający pomocy. Przybiegłszy, znaleziono pana de Sallandrera leżącego obok łóżka, na podłodze, niedającego oznak życia. Pan de Chamery, który służył w marynarce i zna się nieco na chirurgii, natychmiast puścił choremu krew. Przyślano po mnie konnego posłańca. Przybyłem niezwłocznie. Puszczanie krwi przez markiza było spóźnione i jedynie przedłużyło o parę godzin agonię choremu. Księżę zmarł na mych rękach.

– Jaka straszna katastrofa! – wyszepta Roland.

– Och, pan zna tylko jej połowę! – rzekł doktor.

– Co pan chce powiedzieć?

– Mówię, że zna pan dopiero połowę katastrofy – powtórzył doktor, który był odmianą Prudhomme’a<sup>1</sup> i pragnął to zademonstrować.

---

<sup>1</sup> Joseph *Prudhomme* – uosobienie zamożnego mieszczaństwa francuskiego za monarchii lipcowej 1830-1848, typ o grubym brzuchu i gromkim głosie, którym wypowiada frazesy i komunały; twórcą tej postaci był francuski karykaturzysta Henry Monnier; napisał: *Wielkość i upadek Josepha Prudhomme’a, Pamiętniki pana J. Prudhomme’a*.



- Nie rozumiem.
  - W zamku są dwaj zmarli.
  - Jak to? Dwaj zmarli...?
  - Najpierw księżę de Sallandrera...
  - A drugi?
  - Drugi to inny, Anglik.
  - Jaki inny Anglik?
  - Ten ślepy Anglik, którego markiz ze sobą tu przywiózł”.
  - Roland ani nie przypuszczał, mój drogi doktorze, że chodzi o oszpeconego majtka, którego pan leczył – dodała Baccarat.
  - O Waltera Brighta?
  - Dokładnie.
  - Umarł więc?
  - Powiedział o tym Rolandowi ów wiejski lekarz.
  - No i co dalej? – zapytał Samuel Albot.
- Baccarat dalej kontynuowała opowieść:

- Doktor opowiedział Rolandowi, że podczas gdy w zamku zajmowano się panem de Sallandrera, wieśniacy, równo ze świtem idący do swoich prac, znaleźli po północnej stronie doliny zwanej Wąwozem Umarłych, pod murami Haut-Pas, jakąś niekształtną i krwawą masę, która widocznie spadłszy z zamkowego tarasu, roztrzaskała się na skałach. Zebrano te szczątki i zaniecono do zamku. Tam nowe poruszenie, nowe bolesne osłupienie. Wydaje się, że na widok tego trupa markiz zemdlął i miano wielki kłopot z przywróceniem mu przytomności.

„W jaki sposób nastąpiła ta nowa katastrofa? – zapytał Roland lekarza.

- Anglik był ślepy.
- Wiem o tym.
- Jego pokój wychodził na zamkowy taras.
- Dobrze. No i co?
- Nie mogąc spać podczas burzy, która tej nocy była bardzo gwałtowna, wyszedł prawdopodobnie po omacku, a uderzywszy się o parapet, stracił równowagę.
- Ta balustrada jest więc bardzo niska?
- Nadzwyczaj niska – odparł lekarz.



– Wszystko to jest bardzo dziwne – mruknął de Clayet – i musisz mi to szczegółowo opowiedzieć.

– Ach, mój kochany Rolandzie – rzekł lekarz – to czysta prawda.

– Wierzę, doktorze.

Stary lekarz wyprostował się w siodle i wyciągnął rękę do Rolanda.

– Odjeżdżam, gdyż zostawiłem konającego chorego – powiedział.

– Trzy śmierci! – uśmiechając się, stwierdził Roland”.

Doktor nie pogniewał się o ten epigram<sup>2</sup>, ucisnął dłoń Rolandowi, zakłuł ostrogą swego wierzchowca i odjechał wyciągniętym klusem.

Zostawszy sam na drodze, Roland zaczął się wahać, czy iść do zamku, czy też zawrócić?

Wystarczyła mu chwila rozważenia, by podjąć postanowienie.

Co miałyby robić w Haut-Pas? Zapraszać pana d’Asmolles i jego szwagra, by następnego dnia przyjechał de Clayet w celu porozmawiania o interesach? Pora na to, co zrozumiałe, nie była dogodna.

Otóż to podwójne wydarzenie, które właśnie wprowadziło gospodarzy Haut-Pas w konsternację, siłą rzeczy odroczyło ślub panny de Sallandrera z panem de Chamery, a nam dawało czas do namysłu.

Roland, ponownie założywszy strzelbę na ramię, obrócił się na pięcie i ruszył w drogę do Clayet, gdzie dotarł po godzinie.

Oczekiwałam go z pewną niecierpliwością, ale byłam mocno zaskoczona, widząc go powracającego, a moje zdumienie, jak pan zgaduje, jeszcze się zwiększyło, gdy opowiedział mi to, co zobaczył i czego się dowiedział.

Rozumiesz, drogi doktorze, że opowiadanie Rolanda dało mi dużo do myślenia. Pan de Sallandrera zmarł, więc małżeństwo nie mogło być zawarte zaraz. Nawet przyjąwszy, że Conception szalenie kochała markiza, nie mogła złamać zasad konwenansu. Musiała nastąpić przynajmniej trzymiesięczna zwłoka.

„Co pani zamyśla teraz uczynić? – zapytał mnie Roland.

– Nic – odpowiedziałam.

– Jak to: nic?! – zapytał i wytrzeszczył oczy.

Chwyciłam go za rękę i uśmiechając się, powiedziałam:

– Drogi przyjacielu, jutro wyjeżdżamy.

<sup>2</sup> *Epigram* (epigramat) – krótki utwór poetycki o zaskakującej puencie; w starożytności także: wierszowany napis na pomnikach, grobowcach itp.



- Gdzie?
  - Do Paryża.
  - Nie zobaczywszy markiza?
  - Przynajmniej pozornie.
  - Nic z tego nie rozumiem – stwierdził Roland.
  - Przyjrzymy się – powiedziałam – czy nie jest tak, że człowiek, z którym Zampa miał sprawę, nie jest markizem Chamery...?
  - Do licha...! – rzekł Roland.
  - Że nie ma nic wspólnego między szwagrem pana d’Asmolles a tym bandytą o nazwisku Rocambole, którego historię panu opowiedziałam?
  - Ma pani rację.
  - No cóż, przyjacielu – mówiłam dalej – skoro się z tym zgadasz, to pozwól mi jeszcze domniemywać, że istnieje prawdziwy markiz de Chamery, a ten, którego znasz, jest oszustem.
  - Och, pani, co do tego jestem najmocniej przekonany.
  - Chcąc więc zdemaskować fałszywego markiza, musimy odnaleźć prawdziwego.
  - Ma pani rację.
  - Na to będziemy potrzebowali czasu... dużo czasu.
  - Lecz czy mamy tyle czasu?
  - Bez wątpienia, skoro małżeństwo zostanie opóźnione co najmniej o trzy miesiące.
  - W takim razie zechce mi pani wyjaśnić, dlaczego chce widzieć pana de Chamery – zapytał mnie Roland.
  - Aby się upewnić, czy jest lub nie jest Rocambole’em.
  - To prawda. Dobrze, ale jak zrobić?
  - Obecnie jeszcze nie wiem, lecz znajdziemy sposób” – odparłam.
- Roland utrzymywał i żywił w zamku de Clayet pewnego biedaka, poleconego mu przez wuja. Był to ubogi kulawy wieśniak, który na uroczystościach wiejskich grywał na skrzypcach, w ciągu tygodnia łowił żaby, a łącząc trzecie rzemiosło z dwoma pierwszymi, był zbieraczem grzybów.

Jeannet urodził się w zamku i tu został wychowany przez zmarłego wuja Rolanda, który zabierał go ze sobą na polowania. Jeannet w porze zbioru grzybów przebiegał po lesie, a napelniwszy swój



worek grzybami, niósł swój dzienny zbiór do sąsiednich wiosek i zamków.

Wiedziałam, że bywał często na dworze w Haut-Pas, zwłaszcza kiedy tam przebywał wicehrabia d'Asmolles.

Jeannet był inteligentny, a co więcej, duszą i ciałem oddany Rolandowi, a ten powiedział mi, że jest bardzo dyskretny.

Czekaliśmy na wieczór. Kiedy nadszedł, Jeannet, spędziwszy dzień w lesie, wrócił do zamku. Roland, któremu powierzyłam swój plan, zabrał go do swojego pokoju, gdzie we trzech zamknęliśmy się w środku.

„Jeannet, jak dawno byłeś w Haut-Pas? – zapytał go pan de Clayet.

– Przed trzema dniami, panie.

– Zatem nie wiesz, co tam się wydarzyło?

– Owszem, wiem, panie. Ten gruby książę, który kupił fabryki, umarł dziś rano – odparł kulawy.

– Skąd to wiesz?

– Powiedział mi to Nicou, łowczy pana d'Asmolles.

– Chciałbym, abyś poszedł do Haut-Pas – rzekł Roland.

– Kiedy?

– Jutro, z grzybami”.

Ten chromy człowiek był inteligentny, a ponieważ moje męskie ubranie dawało mu wrażenie, że jestem mężczyzną, myślał, że może przy mnie mówić swobodnie.

„Do pani czy do panienki mam zanieść bilecik? – zapytał, mrugając okiem.

– Nie, ale zaprowadzisz tam tego pana – wskazując na mnie, odparł Roland.

To bardzo zdziwiło biedaka.

– Jeannet, jesteś wychowankiem tego domu – mówił Roland – ale gdybyś się poważył mnie zdradzić, to przysięgam ci, że twoja stopa już nigdy nie stanie w zamku de Clayet.

– Och, Panie Rolandzie! – odparł tonem wyrzutu chłopiec.

– No, już porządku – rzekł Roland, który po tym tonie poznał, że Jeannet będzie mu oddany aż do śmierci, i po chwili milczenia dodał:

– Zatem jutro z rana pojedziesz z tym panem.

– Dobrze – rzekł Jeannet.



– Przejeżdżając lasem, nazbierasz grzybów i pójdiesz sprzedać je w Haut-Pas. Staraj się urządzać w ten sposób, aby służba dała ci w zamku śniadanie. Zostaniesz tam do czasu, dopóki ten pan nie zobaczy osób, z którymi pragnie się widzieć.

Jeannet słuchał w milczeniu, jeszcze nie rozumiejąc.

– Ten pan – dodał Roland – będzie ubrany jak wieśniak, uczerni sobie twarz i ręce, a ty go przedstawisz jako młodego pastuszka z gór Jura. Teraz idź i połóż się spać, by być gotowym do wyjścia o trzeciej nad ranem”.

Jeannet, ukłoniwszy się, wyszedł.



## Rozdział III

### *Ważne odkrycie*



**P**o krótkiej przerwie hrabina opowiadała dalej:  
– Faktycznie nazajutrz, i to dobrze przed świtem, byłam już na nogach. Poprzedniego wieczora zrobiłam małą próbę ubioru, więc kiedy Roland wszedł do mojego pokoju, zastał mnie ubraną. Metamorfaza była tak całkowita, że nie potrafił powstrzymać się od okrzyku zdumienia. Rzeczywiście, mój drogi doktorze, stałam się tak ściśle małym pasterzem z Jury, że Roland nigdy by mnie nie poznał, gdyby nie był wtajemniczony w ów sekret. Uczerniałam moje blond włosy i rozplątałam je, starając się uczynić je jak najbardziej rozczochranymi. Poczerniałam także ręce oraz twarz, a moje ubranie składało się z płóciennych połatanych spodni, drewnianych chodaków i kaftanika z niebieskiego płótna. Miałam w ręku kij, na plecach sakwę i duży słomiany kapelusz, który zakrywał mi połowę twarzy.

Było wpół do czwartej nad ranem, gdy wyszliśmy razem: pan de Clayet, Jeannet i ja. Roland, ze strzelbą na ramieniu, postanowił mi towarzyszyć do połowy drogi.

Dwie godziny później Jeannet napełnił nasze worki grzybami. Roland, zapolowawszy, wrócił do domu, a my wdzieraliśmy się stromą ścieżką wiodącą do dworu pana d'Asmolles.

Pierwszą osobą, jaką ja i Jeannet napotkaliśmy, był stary sługa wiechrabiów d'Asmolles, który był czymś w rodzaju intendenta i rządcy zamczyska i zwykle to on kupował produkty z polowania lub polowu od kulawego. Tego starca zwano ojcem Antoine.

„– Ach, mój chłopcze – rzekł do Jeanneta, dostrzegłszy go – przychodzisz w złym momencie, bo dziś w zamku nikt nie myśli o jedzeniu.

Jeannet zrobił głupią minę i zapytał:

– A dlaczego nie myślą o jedzeniu, panie Antoine?

– Ponieważ jesteśmy zajęci pogrzebem.

– Kto umarł w zamku? – pytał dalej.





– Ach, mój chłopcze – rzekł do Jeanneta, dostrzegłszy go – przychodzisz w złym momencie, bo dziś w zamku nikt nie myśli o jedzeniu.



– Mamy dwóch zmarłych, ale chowamy tylko jednego”.

Ponieważ Jeannet wydawał się coraz bardziej zaskoczony, ojciec Antoine, który był dość gadatliwy, powiedział mu to, co Jeannet dobrze wiedział, a mianowicie to, że pan de Sallandrera zmarł poprzedniego ranka i że biedny stary ślepiec spadł z tarasu.

„– Ktorego z nich dwóch dzisiaj chowają? – zapytał Jeannet.

– Ślepego majtka.

– A tego drugiego?

– Och, tego przewiozą do Hiszpanii, do jego rodzinnego kraju – odparł ojciec Antoine. – Doktor z Aulnay przyjechał wczoraj wieczorem, zabalsamował go i jutro księżna wraz z córką odprowadzą ciała. Będzie im towarzyszył pan wicehrabia”.

Jeannet spojrział na mnie ukradkiem, ale pozostałam niewzruszona.

„– Więc nie kupi pan ode mnie grzybów, panie Antoine? – zapytał kulawy.

– Ależ tak, mały Jeannet – odparł starzec. – Idź do kuchni i oddaj je Marion.

– Czy mimo pogrzebu dostanę coś do picia? – zapytał chłopiec.

– Także pełny talerz owsianki<sup>3</sup> – odparł ojciec Antoine, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. – Idźcie, chłopaki!”.

Jeannet, doskonale znający rozkład pomieszczeń zamku, przeszedł wraz ze mną dziedziniec, na którym pozostawiliśmy ojca Antoine’a siedzącego na belce i palącego fajkę, i zaprowadził mnie prosto do kuchni, gdzie mimo porannej godziny znajdowało się mnóstwo ludzi.

Służba zamkowa, pasterze i wolarze, zebrani pod okapem kominka, spożywali poranny posiłek, na który składały się miski pełne owsianki, i prowadzili rozmowę, jak łatwo zgadnąć, o podwójnej katastrofie z poprzedniego dnia.

Jeanneta przyjęto życzliwie. Przedstawił mnie jako swojego kuzyna z gór, więc także dostałam część okropnej strawy. Udawałam, że bardzo mi smakuje.

Co więcej, przyjęłam głupią i bojaźliwą postawę młodego chłopca, który nigdy nie był poza górami i nie śmie otworzyć ust, ale słuchałam i obserwowałam, tak że po godzinie byłam dobrze poinformowana o wszystkim, co się działo i co się dzieje obecnie na zamku.

<sup>3</sup> Owsianki – autor użył słowa „gaudes”, które oznacza potrawę złożoną z prażonej mąki kukurydzianej z dodatkiem mleka, podawanej formie zupy lub pieczonych placuszków.



Księżna de Sallandrera i jej córka były pogrążone w rozpacz. Na cały poprzedni dzień zamknęły się w swoich pokojach, a spoza drzwi dochodziły ich szlochy.

Wicehrabina d'Asmolles nie opuszczała ich ani na chwilę.

Co do markiza, to dowiedziałam się, że bez wątpliwości znajdował się w okropnym stanie. Ta podwójna śmierć ciężko go dotknęła. Błąkał się po zamku jak wariat, z błędnym wzrokiem, bladym obliczem, milczący, ponury.

Wreszcie ostatnia informacja, jaką uzyskałam, była dla mnie najcenniejsza, a mianowicie ta, że niewidomego miano pochować o ósmej rano, a zgodnie ze zwyczajem panującym w tym regionie miano zanieść go na wiejski cmentarz w niezamkniętej trumnie, z odkrytą twarzą.

Ponadto ubrano go, a zwłoki wystawiono w jego pokoju, gdzie każdy mógł go zobaczyć i pokropić święconą wodą.

Jeannet, z którym wymieniłam porozumiewawcze spojrzenie, odważył się wówczas zapytać:

„– Mógłbym więc i ja tam pójść?”

– Dlaczego nie? – odparła kucharka Marion. – Nie radziłabym ci jednak tego czynić, Jeannet.

– A to dlaczego, Marion?

– Bo potem będziesz się bał.

– Ja się nie boję umarłych.

– Innych, być może, ale nie tego...

– Jest więc bardzo brzydki?

– Och, bardzo...!

– Poza tym – dodał jeden z wolarzy – jest poszarpany na kawałki.

– Faktem jest – odrzekł chłopiec – że wykonał dość straszny skok.

– Tylko twarz pozostała nienaruszona, bo upadł na grzbiet – dodał inny służący.

– Jednak już za życia był szpetny... – dorzuciła Marion. – Mówią, że miał spaloną twarz...”

Te słowa sprawiły, że mimowolnie zadrżałam.

– To nic – rzekł Jeannet – chcę go zobaczyć. Idziesz ze mną, kuchynie – dodał, zwracając się do mnie.

Wstałam w milczeniu.



„- Szczęśliwej drogi i przyjemności – zawołała ironicznie kucharka. – Ja was tam nie zaprowadzę.

– Och, wiem gdzie to jest – odparł Jeannet, wychodząc. – Żółty pokój na drugim piętrze, z drzwiami na taras... Dobrze znam ten zamek”.

Wyszliśmy z kuchni i Jeannet poprowadził mnie do pokoju, który niewidomy zajmował za swego życia i do którego przyniesiono go zmarłego po tym, jak znaleziono go na dnie wąwozu.

Całą noc przy trupie czuwał młody seminarzysta.

Zatrzymałam się w progu, nieco rozemocjonowana.

Zbroczony krwią trup został owinięty bandażami jak mumia i leżał na łóżku w ubraniu, z rękoma złożonymi na piersi. Z boku, na stole paliły się dwie świece. Obok łóżka stała waza ze święconą wodą. Przy łóżku klęczał seminarzysta w białej komży, odmawiając cicho modlitwy za zmarłych.

Jeannet wszedł pierwszy na palcach, z kapeluszem w ręku. Umoczywszy palec w święconej wodzie, pokropił nią trupa, popatrzył na niego i cofnął się z przestachem... Tak straszna była twarz zmarłego.

Stałam za nim z oczyma utkwionymi w nieżyjącym i nagle to oblicze pokryte bliznami, straszne do oglądania, ukazało mi się jak objawienie prawdy.

W owym trupie poznałam sir Williamsa!

Seminarzysta nie podniósł oczu. Co do Jeanneta, za którym stałam, nie zauważył mego nerwowego drżenia. Wzięłam go za rękę i wyszłam z nim z tego pokoju śmierci. W przyległym korytarzu, który był pusty, zamieniliśmy ze sobą kilka pospiesznych słów.

„- Pogrzeb ma nastąpić o ósmej rano? – zapytałam.

– Tak powiedział nam ojciec Antoine.

– Chcę na nim być.

– Jak pan uważa” – odparł Jeannet, nie pojmujący zbyt dobrze, po co przybyłam do zamku.

Liczyłam na to, że markiz de Chamery nie mógł zrezygnować z udziału w pogrzebie człowieka, któremu bez wątpienia wiele zawdzięczał.

Moje przewidywania się ziściły. Punktualnie o ósmej przybył proboszcz w komży z kościelnym i ministrantami.



Zmarłego złożono do trumny, potem czterej służący z zamku wynieśli ją na ramionach, podczas gdy cieśla niósł wieko, które miało zostać przybite dopiero na cmentarzu.

Gdy orszak pogrzebowy miał wychodzić z dziedzińca, ukazali się dwaj mężczyźni: wicehrabia d'Asmolles i markiz de Chamery. Obaj, chcąc ustawić się za trumną, musieli przejść tuż przed moimi oczyma.

Wsunęłam się w grupę wieśniaków, a zresztą byłam tak dobrze przebrana, że niemożliwe było rozpoznać hrabinę Artoff w tym młodym góralu w drewnianych chodakach, z uczernioną twarzą, wlepiającym w markiza roziskrzone spojrzenie.

Podobnie jak w umarłym poznałam sir Williamsa, tak w owym młodzieńcu z bladą twarzą napiętnowaną boleścią poznałam Rocambole'a i jego potępioną duszę, a jednocześnie odgadłam, w jaki sposób zginął sir Williams. Został zamordowany przez swego ucznia, który w ostatniej chwili, w godzinie triumfu, uznał za stosowne się go pozbyć.

Gdy orszak wchodził do wiejskiego kościółka, skinęłam na Jeaneta. Odeszliśmy na bok i ukryliśmy się poza skałami otaczającymi drogę, a następnie weszliśmy w las.

Dowiedziałam się wszystkiego, czego chciałam się dowiedzieć, i postanowiłam wrócić do Clayet.

„- No i co? - pytał Roland, wybiegając mi na spotkanie.

- To on! - odpowiedziałam.

- Rocambole?

- Tak!

- Jest pani zupełnie pewna?

- Ani przez chwilę w to nie zwątpiłam.

- Zatem co teraz zrobimy? - zapytał mnie.

- Pan... nic!

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Przyjacielu, musisz mi dać swe słowo, że pozostaniesz tu i nie wrócisz do Paryża, dopóki nie otrzymasz ode mnie zezwolenia na wyjazd.

- Ależ...



- Pozwól mi działać - odparłam. - Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, co się stało z prawdziwym markizem de Chamery.

- Odjeżdża pani?

- Dziś wieczorem” - odpowiedziałam.

Faktycznie tego wieczora wsiadłam do dyliżansu pocztowego i wróciłam do Paryża.



**Chcesz przeczytać dalszą część?**

*Zapraszamy do księgarni!*

